

## „Ocaleni z komory gazowej” – wspomnienia Josepha Szmekury.

Od roku 1937 byłem w armii. Służyłem w 10. Pułku Piechoty stacjonującym w Łowiczu. Przed przystąpieniem do wojska pracowałem jako zwykły robotnik z transportu. Przez pewien czas zatrudniony byłem również w warsztacie ceramicznym należącym do Anatola Weksteina; następnie stałem się glazurnikiem i pracowałem dla pana Kalinowskiego, ogrodnika.

Kiedy wstępowałem do wojska byłem już żonaty i miałem dwójkę dzieci. Trzecie urodziło się w 1939 roku.

Moja jednostka została przeniesiona do miasteczka znajdującego się niedaleko Poznania, który w tamtym czasie znajdował się przy granicy z Niemcami. Zostałem tam pojmany i na samym początku wojny wysłano mnie do obozu więziennego niedaleko Radomia, z którego po miesiącu uciekłem wraz z polskim budowlańcem, który – podobnie jak ja – był z Łowicza.

W stroju cywila powróciłem do Łowicza, który w tym czasie okupowany był przez Nazistów. Pozycja ludności żydowskiej była wtedy beznadziejna, a dalsze losy niepewne. Podążając przykładem innych udałem się do okupowanej przez Sowieców wschodniej Polski. Wziąłem ze sobą swoją siostrę – Chanę. W tamtym okresie bardzo łatwo było przedostać się przez granicę, po przekroczeniu której trafiliśmy do Białegostoku.

Wkrótce potem przesłałem swojej żonie wiadomość, w której poprosiłem, ażeby dołączyła do mnie z dziećmi. Jednakże, po namowach swojej rodziny, odmówiła. Dotarły do niej pogłoski, że uciekinierzy zamieszkujący tereny wschodnie prowadzili bardzo nędzne życie.

Nie mając innego wyboru, zdecydowałem się wrócić do domu. Towarzyszyła mi moja siostra i kilku młodzieniaszków z Łowicza. W chwili naszego przybycia do miasta zdałem sobie sprawę z tego jak śmiertelnie niebezpiecznego przedsięwzięcia się podjąłem, ale było już za późno i pozostało mi podzielić los innych polskich Żydów.

Z tego, co pamiętam to łowicka Rada żydowska robiła wszystko, co było w jej mocy, ażeby uzupełnić braki w populacji znajdującej się w getcie; sprowadzono tam uciekinierów z innych miast.

Komitet mieszkańców getta składał się z Y. Razinckiego, Shaike Zibermana i Y.D. Buchnera, a ich zadaniem była pomoc w znalezieniu domu dla uciekinierów i mieszkańców Łowicza wysiedlonych z tych dzielnic miasta, w których zamieszkiwali teraz przedstawiciele rasy Aryjskiej.

Z komitetem współpracowali robotnicy z transportów: Yosel Zychlinski, Yitzchak Herszkowicz, Avraham Kuropatwa i ja. W domach bogatszych Żydów, którzy mieli cztery, sześć lub więcej pokoi lokowano po dwie lub trzy rodziny uciekinierów. Co zrozumiałe, bogatsi żydzi byli niechętni temu pomysłowi i komitet musiał używać swojej władzy i autorytetu, ażeby przekonać ich do udzielenia pomocy.

Na samym początku nie było problemów z chlebem ponieważ na terenie getta działało kilka żydowskich piekarni, do których Niemcy dostarczali pewną ilość mąki, a resztę – podobnie jak inne produkty – przemycano do getta, co wiązało się z ryzykiem bycia zabitym przez policję. Tym samym chciałem wyrazić swoje ogromne uznanie dla drobnych piekarzy, których dobroć była mi świadkiem. Rodziny takie jak Szpaizhendlersi, piekarze z ul. Zduńskiej, znacznie zbiednieli z racji tego, że pomagali ludziom głodującym w getcie. Często widywałem również małą dziewczynkę, która dzieliła kromkę chleba na cztery kawałki i rozdawała ją głodującym;

Ogólnie rzecz ujmując, nie należy mieć pretensji i żalu do policji, która pracowała w łowickim getcie, ponieważ ta była o wiele lepsza niż w innych polskich miastach. Z tego, co słyszałem społeczność niemiecka mieszkająca w Łowiczu nie była wrogo nastawiona do Żydów. Co więcej, jej członkowie robili wiele, ażeby żydom pomagać. Mogę nawet podać przykład. Córka Abrahama Isaaca Titenmachera, stara pani Helmer ze sklepu papierniczego znajdującego się na Nowym Rynku w sąsiedztwie rzeźnika Głogowskiego, ukryła należące do siebie bogactwa w ogródku należącym do niemieckiej rodziny Walde, której dom znajdował się na obrzeżach getta. Pani Helmer mieszkająca w getcie potrzebowała pieniędzy, ażeby zapewnić przeżycie sobie i swojej córce dlatego zdecydowała się sprzedać należące do niej dobra. Zarówno Walde, jak i Głogowski wyrazili zgodę na to, ażeby w murze stanowiącym granicę pomiędzy miastem, a gettem wyłupać dziurę, przez którą można by wszystkie bogactwa przemycić na teren getta. W operacji tej brał inny Niemiec, Miller. Ubrany w czarny policyjny mundur stał na straży, ażeby uniknąć sytuacji, w której cały spiszek zostałby wykryty. Prawdopodobnie był to jedyny niemiecki policjant chętny do pomocy Żydom poprzez przemykanie oka na ich tajne działania i walkę z nazistowskimi anty-żydowskimi prawami.

Wysiedlanie żydów z łowickiego getta miało zająć wg planu nieco ponad kilka tygodni. Ta zaplanowana na okres pomiędzy marcem i kwietniem 1941 r. akcja była nadzorowana przez Shansa, 60-letniego oficera armii niemieckiej.

W tym celu załatwił on kilka autokarów na koszt Ministerstwa Infrastruktury. Wszyscy mogli przyznać, że Shans zaczął zachowywać się o wiele bardziej humanitarnie i doradził każdemu, ażeby spakować ze sobą jak najwięcej prowiantu, sztucców i innych dóbr. Przyniósł także dużą ilość koców z żołnierskich baraków, ażeby mogli się nimi okryć ludzie starsi i dzieci podczas podróży do Warszawy.

Pamiętam incydent z udziałem sprzedawcy butów, który mieszkał naprzeciwko rodziny Shaul. Shans doradził mu zabrać cały dobytek ukryty w licznych piwnicach. Pomagał mu też w pakowaniu dobytku, na który składało się kilkaset par butów, głównie dziecięcych. Podczas deportacji policja getta pilnowała porządku pomagając nosić bagaże i upewniając się, że autobusy nie były przeładowane. Pinye Gurt i Samuel Yosef Rosen z Judenrat podróżowali z każdym autobusem, dzięki czemu przy wjeździe do getta nie było żadnych kontroli i przeszukiwań. Żydzi z Łowicza dostali nawet pozwolenie na powrót do miasta w celu zabrania reszty swojego dobytku.

Ja natomiast zostałem w mieście do chwili kiedy to getto zostało ostatecznie zlikwidowane.

Na miejscu pozostała tylko grupa składająca się z ok. 150 handlarzy i ich rodzin. Byli to krawcy, szewcy, cieśle i kowale.

Podczas deportacji Shans kilka razy udał się do warszawskiego getta w towarzystwie Pinye Gurt dostarczając prowiant dla łowickich żydów, który rozdawany był na terenie całego getta zgodnie z planem zatwierdzonym przez warszawską Radę żydowską. Ja, moja rodzina i inni ludzie z naszego transportu zostali ulokowani na ul. Żelaznej 64. Mieszkali tam również Leible Amshinowski, Faivel Milevski z rodziną, mój teść Abraham Isaac Domber, a także Chaim Rochverger.

Po upływie kilku dni znalazłem na ul. Pawiej 84 zawilgoconą piwnicę, do której przeprowadziłem się wraz z żoną i trójką dzieci i płaciłem za nią czynsz za kilka miesięcy z góry.

W niedługim czasie zauważyłem, że kończą się pieniądze i musiałem poszukać tańszego miejsca na mieszkanie. Znalazłem inną piwnicę na ul. Gensha 26; na tym samym podwórku mieszkaly inne łowickie rodziny: Medek, Rochverger, Shaie Freitag i Schmuel Maitschok.

Wkrótce zdałem sobie sprawę z tego, że moja rodzina cierpi głód i zdecydowałem się opuścić getto, ażeby rozwiązać ten problem. Było to dość ryzykowne, ale nie miałem innego wyjścia. Był to początek zimy 1942. Dzięki swoim aryjskim rysom twarzy udało mi się dotrzeć do Łowicza bez problemów. Moi polscy znajomi powitali mnie bardzo ciepło. Mury dawnego łowickiego getta zostały zburzone, a stare żydowskie sklepy zapełniły się dziwnie wyglądającymi typami. Moje myśli krążyły wokół wszystkich dobrych ludzi jakich znałem. Zastanawiałem się w czyje ręce powierzyć swój los. Ostatecznie zdecydowałem się na starego ogrodnika Kalinowskiego, w którego posiadaniu był ogromny ogród. Dawniej latem podczas szabatu żydzi przechadzali się wokół jego ogromnego ogrodu pełnego kwiatów i warzyw, a w ciągu tygodnia robili u niego zakupy.

Kiedy starzec zobaczył mnie w swoim domu był w szoku. Zarówno dla żyda, jak i dla aryjczyka przebywanie w swoim towarzystwie było dość niebezpieczne. Uspokoilem jego obawy wyjaśniając, że nie przybyłem do jego domu w celu ukrycia się, a zdobycia prowiantu dla swojej rodziny przebywającej w warszawskim getcie. Z pomocą swojej najstarszej córki spakowałem mi ok. 20 kg pożywienia. Na sam koniec spytali mnie w jaki sposób poradzę sobie z wysłaniem tak dużej ilości jedzenia na poczcie. Córka Kalinowskiego zaproponowała, że zrobi to za mnie. Miałem bardzo mało czasu na wyzbycie się swojej nieufności w stosunku do tej kobiety. Wydawało mi się, że jej gest spowodowany jest chęcią jak najszybszego pozbycia się mnie z ich domu. Pomimo tego że łzami w oczach ucałowałem jej dłonie i podziękowałem za okazaną dobroć. Kiedy wychodziłem dodała, że w przyszłości również mogą liczyć na jej wsparcie.

Z wciąż towarzyszącą mi nieufnością podążałem kilka kroków za nią kiedy kierowała się w kierunku stacji kolejowej, na której znajdowała się poczta. Patrzyłem jak wielki wysiłek sprawiało jej niesienie ciężkiej paczki – co chwilę przystawała, ażeby odpocząć. Ostatecznie dotarła na pocztę, a moje obawy w stosunku do jej osoby okazały się bezpodstawne. Co więcej, ta sama kobieta później wysłała mi ponad osiem podobnych paczek.

Spędziłem ok. 3 miesiące wędrując po wioskach leżących w pobliżu Łowicza. Pracowałem dla rolników – czasami na polu, a czasami w spichlerzach młócąc ziarno.

Następnie wydarzyła się następująca sytuacja. Poszedłem do córki Kalinowskiego z ósmą paczką, a ona ostrzegła mnie, że sytuacja w mieście znacznie się pogorszyła. Miejsce miały obławy podczas których żydów zestrzelano na miejscu. Poradziła mi, ażebym pozostał poza miastem dopóki sytuacja się nie uspokoi. Instynktownie czułem, że niebezpieczeństwo jest coraz większe i miałem zamiar uciec wybierając najdłuższą i najbezpieczniejszą drogę znajdującą się poza miastem. Prowadziła ona przez łąkę należącą do Niebudaka. To właśnie na tej łące napotkałem dwóch polskich policjantów, którzy znali mnie z czasów przedwojennych. Byli to Szwarocki i Stachlewski. Zatrzymali mnie i doradzili jak najszybsze opuszczenie miasta. W przeciwnym razie groziło mi zabicie przez Gestapo. Eskortowali mnie w drodze na stację kolejową poprzez zaułki i przynieśli bilet na pociąg do Warszawy. Czekali aż pociąg ruszy i pomogli dostać się do wagonu. Kiedy przyjechałem do Warszawy z dziko bijącym sercem przemknąłem ze stacji dostając się do getta przez ulicę Walską.

Po powrocie dowiedziałem się od żony, że wszystkie paczki do niej docierały, i że dzięki pomocy córki Kalinowskiego moja rodzina nie cierpiała z powodu głodu.

Następnego dnia los ponownie ze mnie zakpił.

W getcie był rynek, na który udałem się z nadzieją zarobku. Niestety, tego dnia policja urządziła obławę i wraz z dziesiątkami innych ludzi zostałem złapany i wysłany do obozu pracy

w regionie Błonie-Sochaczew. Setki pobitych i okaleczonych żydów pracowało tam nad projektem nawodnienia terytorium. Tam właśnie spotkałem swojego teścia Abrahama Isaaca Dombera. Powiedziałem mu, że starzy i schorowani ludzie mogą ubiegać się o uwolnienie po zbadaniu przez żydowskich lekarzy, podczas którego orzekną oni, że dana osoba jest niezdolna do pracy. Posłuchał mnie i po kilku dniach był już w warszawskich getcie.

Zostałem w tym obozie przez kolejne sześć tygodni, kiedy to ludzie wokół mnie padali jak muchy z powodu okropnych i niesanitarnych warunków jakie tam panowały. Wybuchła epidemia

i żaden z 700 żydów nie miał pewności co do swojego przyszłego losu. Mi wciąż dopisywało zdrowie, a stan ten zawdzięczałem miesiącom spędzonym na łowickiej wsi, kiedy to nie brakowało mi jedzenia. Postanowiłem nie czekać aż los sam zadecyduje o mojej przyszłości i uciec najszybciej jak to było możliwe.

W obozie spotkałem swojego znajomego, który był naczelnikiem na ul. Żelaznej 64. Razem zaczęliśmy planować naszą ucieczkę. Obóz otaczał wysoki płot z drutu kolczastego. Pewnej deszczowej nocy udało nam się pokonać tę przeszkodę i udaliśmy się do Warszawy. Dotarcie na miejsce zajęło nam prawie dwa dni.

Kiedy wróciłem do getta, zastałem swoją żonę w bardzo złym stanie – umartwioną i osłabioną z głodu, niemającą dostępu do jedzenia dla siebie i dzieci.

W międzyczasie zmarł mój teść. Podczas mojej nieobecności zajęła się nim jego żona i dwie małe córki: 12 i 14-latka. Dziewczynki umieszczono w sierocińcu na ul. Gdańskiej i muszę przyznać, że ich dalsze losy pozostają dla mnie tajemnicą do dnia dzisiejszego; natomiast teściowa wprowadziła się do nas. Moje dzieci nie zostały przyjęte do sierocińca, ponieważ zarówno ja, jak i żona żyliśmy.

Po kilku dniach doszedłem do wniosku, iż fakt, że ludzie dookoła cierpią głód nie pozwala mi tkwić w miejscu i zdecydowałem spróbować swojego szczęścia raz jeszcze w Łowiczu.

Tym razem nie byłem sam. Dzień wcześniej spotkałem przez przypadek innego „syna” tego miasta, pomocnika krawca –Mashe Karpenkopfa. Błagał mnie o pomoc, bo słyszał, że wielu łowiczian wciąż ukrywa się w wioskach sąsiadujących z miastem, a wśród nich jest jego kuzyn. Następnego dnia trafił na nas idących poza murami getta wzdłuż drogi prowadzącej w kierunku naszego celu. Musieliśmy pokonać odległość blisko 80 km i prawie straciliśmy życie podczas tej wędrówki.

A stało się to tak:

Karpenkopf był brunetem o ciemnej karnacji; typowy żyd. Jego twarz pokryta była całą masą wyprysków. Dlatego dla naszego wspólnego bezpieczeństwa podjęliśmy decyzję, że będziemy wędrować osobno – w odległości około stu metrów od siebie, jednocześnie mając się na oku.

W trasie pomiędzy Błoniem i Sochaczewem minęła nas grupa ubranych w czarne mundury policjantów na rowerach. Nagle część z nich zeskoczyła ze swoich pojazdów i brutalnie zaatakowała jakiegoś młodzieńca bez konkretnej przyczyny. Zostawili jego zmasakrowane ciało leżące w kałuży krwi.

Oglądając tą sytuację z odległości, wskoczyłem do rowu i udawałem, że śpię.

Kilkoro z nich podeszło do mnie i zaczęło mnie brutalnie kopać i bić. I wtedy stała się rzecz, której nie mógłbym sobie wyobrazić w najśmielszych snach. Życie uratował nam oddział niemieckiej Reichswery, który pojawił się nagle na horyzoncie. Najprawdopodobniej oficer jadący w pierwszym samochodzie dostrzegł bójkę. Rozkazał dwóm motocyklistom dogonić naszych oprawców

i sprowadzić przed jego oblicze. Poprzez oczy zalane krwią widziałem jak przeklinał i tłukł ich

w ramach kary za potraktowanie nas w tak brutalny sposób. Następnie wezwał pielęgniarza, który zajął się naszymi ranami. Obmył je, zabandażował, a następnie poratował nas porcją jedzenia na dalszą drogę. Najprawdopodobniej pomylili nas z dwoma polskimi chłopami.

Przez dalszą część drogi podróżowaliśmy razem ponieważ twarz Karpenkopfa była obwinięta bandażami w takiej ilości, że widać było mu tylko oczy i nikt nie rozpoznałby, że jest pochodzenia żydowskiego. Sam nie wiem jak to się stało, ale kiedy dotarliśmy do wioski zwanej Chodaków zostałem rozpoznany przez jakiegoś innowiercę.

Ostrzegł nas, żebyśmy ominęli trasę na Sochaczew, ponieważ terytoria te stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Doradził wybrać okrężną drogę przez Chodaków.

Zapisał nam adres starego farmera wręczając jednocześnie własnoręcznie napisaną notkę,

w której informował, że to on pokierował nas tą drogą. Skorzystaliśmy z jego wskazówek i w niedługim czasie dotarliśmy do chaty ów farmera. Podałem mu notkę, a ten natychmiast rozpoznał pismo swojego przyjaciela. Bez pytania o jakiegokolwiek pieniądze zaprowadził nas na brzeg rzeki Bzury.

Zwodowaliśmy jego maleńką łódeczkę i ruszyliśmy w spokojną podróż na drugi brzeg, a kiedy tam dotarliśmy przyjrzał nam się dokładnie z nieukrywaną litością w oczach, czasami kierując swoją twarz w kierunku nieba jakby modlił się po cichu; dał nam wskazówki dotyczące naszej dalszej drogi.

Następnego ranka dotarliśmy do Łowicza od strony cmentarza żydowskiego. To właśnie tam rozdzieliliśmy się, ażeby już nigdy więcej się spotkać, o czym w tamtym momencie nie wiedzieliśmy. Wyruszyłem do mojej wsi - Dąbkowic Górnych, gdzie znałem kilku przyjaznych rolników. Ku mojemu zadowoleniu spotkałem grupkę młodych ludzi z Łowicza. Były to siostry Berkowicz; Shaindl i Malka, a także ich brat Yosel. Był z nimi także kuzyn współtowarzysza mojej podróży, Moshe Pinchas Karpenkopf. Pomimo ciężkich warunków wyglądali dość dobrze.

Spotykaliśmy się sekretnie w stodole i opowiadaliśmy sobie o tym, co działo się z naszym życiem w przeciągu kilkunastu ostatnich miesięcy. Pytali mnie o moich zmarłych krewnych, a także

o życie w getcie. Od nich dowiedziałem się o tym, że w okolicy często urządzone są obławy. Opowiadali mi też o swoich sposobach na ukrywanie się. Podczas dyskusji zdałem sobie sprawę

z tego, że byli bardzo dobrze wyposażeni i zdolni zrobić bardzo wiele, ażeby ocaleć. Po tym jak ich opuściłem udałem się do innej wsi, w której spotkałem grupę trzech żydówek z Łowicza.: niewidomą Fraidl Rozen; matkę dwójki dzieci – Chanę Przytyk i jakąś inną kobietę.

Chana była doskonale zorientowana w swojej obecnej sytuacji i ostrzegła mnie, że istnieje niebezpieczeństwo bycia pojmanym w sytuacji kiedy zbyt wielu żydów gromadzi się w jednym miejscu. Zostawiłem ją w nadziei znalezienia pracy i jedzenia, które mogłyby ocalić moją rodzinę przed głodem.

Pewnego dnia była kolejna obława. Stary rolnik dla którego pracowałem zauważył jak wspinał się na stóg siana koło jego stodoły pełen nowo nabytej siły, która wstąpiła w moje umęczone kończyny, a wyrosła ze strachu przed natychmiastową śmiercią, która czekała na mnie jeśli zostanę złapany. Wewnątrz stogu było niesamowicie gorąco i najpewniej zemdlałem. Do tej pory dziwię się sam sobie, że jakoś dałem radę oddychać przez całą noc.

Rankiem obudziły mnie głosy rolnika i jego żony.

- Najpewniej jest martwy. Wyciągnijmy go na zewnątrz i spalmy na polu, ażeby nie zostawić żadnych śladów.

Strach przed byciem spalonym żywcem sprawił, że szybko otrząsnąłem się z półświadości i z wielkim trudem wyczołgałem się ze stogu. Świeże poranne powietrze zadziało na mnie jak orzeźwiający tchnienie nowego życia, które we mnie wstępowało. Małżeństwo rolników spoglądało na mnie jakbym był zmartwychwstałymi zwłokami. Kobieta szybko przyniosła mi słoik wypełniony świeżym mlekiem, ażebym mógł zaspokoić swoje pragnienie. Niestety mój żołądek najpewniej odzwyczaił się od takich dobrodziejstw, bo wkrótce potem dostałem biegunki. Jedynym lekarstwem na tą przypadłość jakie znała ta kobieta był sok jagodowy z ciepłym mlekiem, co troszkę mi pomogło, ale dopiero gdy zjadłem dużą porcję ziemniaków z kluskami kobieta uznała mnie za wyleczonego i pozwoliła odejść.

Byłem zdeterminowany, ażeby dotrzeć do Warszawy, co chciałem osiągnąć poprzez podążanie wąską ścieżką, która poprowadziła mnie do niemieckiej wioski, Gągolina. Oczywiście musiałem ją ominąć ze względu na grożące mi niebezpieczeństwo. W połowie drogi kompletnie opadłem z sił. Męczyły mnie zawroty głowy, gorączka, biegunka i ogólne osłabienie ciała.

Kiedy otworzyłem ponownie oczy okazało się, że leżę na kupce słomy w stodole. Nade mną stał stary pokiwujący głową chłop z ogromną twarzą i okazałymi wąsami, a sposób w jaki się do mnie zwracał dał mi do zrozumienia, że rozpoznał moje pochodzenie. Okazało się, że był rodowitym Niemcem i znalazł mnie leżącego na ścieżce obok jego pola. Wyjaśnił także, że jestem w Gągolinie. Osłabienie i zmieszanie sprawiły, że nie zacząłem odpowiadać na jego pytania natychmiastowo. Kiedy tylko poczułem, że wracam do sił do stodoły weszła grupa ubranych na czarno policjantów. Spodziewałem się, że za chwilę wywleką mnie na pole i zastrzelą, ale zamiast tego jeden z nich rzucił mi prosto w twarz kawałek chleba posmarowanego masłem i rozkazał go zjeść. Inni śmiali się i straszili mnie, że jeśli nie zjem to mnie zastrzelą. Gorączka osłabiła mój apetyt, ale tak bardzo bałem się, że ich groźby zostaną spełnione, że z trudem przeżółłem i połknąłem ten suchy kawałek pieczywa.

Chwilę później przyszła żona rolnika. Spojrzała srogo na drwiących ze mnie młodzieniaszków, a ci rozeszli się na boki. Podała mi coś do picia i pomogła ustać na nogach. Wyprowadziwszy mnie na zewnątrz wskazała kierunek w jakim mam się udać, ażeby dotrzeć do wioski zamieszkiwanej przez Polaków.

Dziękując jej wyruszyłem w drogę dość powolnym krokiem przez pola. Na miejsce dotarłem bez żadnych kłopotów i zostałem tam przez dwa dni ukryty w stodole, po czym zaopatrzony

w jedzenie dla swojej rodziny rozpocząłem drogę powrotną. W innej wiosce spotkałem 30-letnią żydówkę w towarzystwie swojej 12-letniej córki. Pochodziła ze Zgierza, miasta koło Łodzi, a do Łowicza przybyła w poszukiwaniu swojego krewnego Lazara Barucha Zaide. Niestety okazało się, że nie ma go już w mieście, więc kobieta zdecydowała, że będzie ukrywać się w różnych wioskach dookoła miasta. Razem z córką pracowały na polu ubrane jak typowe chłopki, co sprawiło, że pozostały niewykryte. Tego samego dnia była obława i z ukrycia widziałem jak kobieta wraz z córką zostały wyprowadzone na pole i zastrzelone pod małym drzewkiem wiśniowym pomimo zatrważających lamentów. Obraz ten za zawsze wrył mi się w pamięć. Tej samej nocy wymknąłem się z wioski udając się w kierunku Łowicza z połową worka ziemniaków jako moim całym dobytkiem. Na miejsce dotarłem jeszcze przed świtem na samym wstępie stając twarzą w twarz z Shanssem. Rozpoznał mnie natychmiast i zaprowadził do pobliskiego więzienia ciągle trzymając mnie na muszce.

W więzieniu zabrali mi moje ziemniaki i przez chwilę nie wiedziałem czego bardziej mi żal –tego, że zostałem złapany, czy mojego „skarbu”. Umieszczono mnie w celi z 15-stoma innymi żydami, którzy nie byli z Łowicza; moje ziemniaki zostały zabrane do kuchni, w której pracowali dwaj młodzi mężczyźni. Powiedzieli mi, że opuścili swoją kryjówkę z

dwoma innymi łowiczanami. Zostali złapani na nowym rynku. Jeden z nich padł na kolana i zaczął błagać o litość, tłumacząc, że nie chce umierać w tak młodym wieku; został zastrzelony wraz z innym mężczyzną. Ten z nich, który opowiadał mi to historię dał radę uciec, ale został schwytany przez Shansa i uwięziony. W więzieniu byli jeszcze dwaj mężczyźni z Łowicza skazani za przestępstwa obywatelskie jakie popełnili. Jeden z nich, Słonimski, był synem nauczyciela ze szkoły podstawowej; jego ojciec bardzo cierpiał ze względu na drogę jaką obrał jego syn. Drugi z nich, Yanki Domber, był moim szwagrem.

Byli bardzo szczęśliwi, że mnie spotkali, a z racji tego, że pracowali jako personel rozdający jedzenie, zawsze mogłem liczyć na większą porcję. Dwa dni później zostałem wraz z grupą innych więźniów transportowany na stację kolejową i wysłany do warszawskiego getta w towarzystwie dwóch policjantów.

Ku mojemu zdziwieniu, odzyskałem swoje ziemniaki, których liczba w tajemniczy sposób zwiększyła się dwukrotnie, a jakość znacznie wzrosła. Nie mam wątpliwości, że mieli w tym swój udział dwaj pracownicy z kuchni. Później dowiedzieliśmy się, że Gestapo zastrzeliło Shansa na żydowskim cmentarzu za pomaganie żydom. Śmierć spotkała także dwójkę ludzi, którzy przeszli na judaizm. Jednym z nich był Marcus, sprzedawca papieru; a drugim Berkovitz, portier pracujący na stacji kolejowej.

W getcie czekały na mnie okropne wiadomości – zmarła moja żona i jedno dziecko. Pozostała przy życiu dwójka dzieci była pod opieką 12-letniej dziewczynki z Konstancina. Mój starszy syn miał wtedy siedem lat, a drugi był o rok młodszy. Oboje wyglądali jak szkielety i wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że muszę zaprzestać swojego opuszczania getta w poszukiwaniu jedzenia. Znalazłem pracę na terenie getta i po dniu morderczego wysiłku powróciłem do domu z porcją jedzenia dla swoich dzieci i ich opiekunki. W ich wątłe ciała wstąpiło życie, a w oczach pojawił się blask wraz

z chwilą mojego powrotu. Jeden z moich synów zaczął już puchnąć z głodu. Dzięki swoim aryjskim rysom twarzy wkrótce mogłem rozpocząć pracę poza metrem jako portier na Dworcu Wschodnim. Naprzeciwko znajdował się sklep z kawą należący do pracującego na kolei urzędnika, który za dużą sumę pieniędzy załatwił mi dokument potwierdzający moje rzekome aryjskie pochodzenie. Miał on dwie zamężne, ale bezdzietne córki, które zajęły się moimi dziećmi.

Miałem ogromne wątpliwości co do słuszności mojego zamiaru przemycenia synów poza mury getta. Na początku wzięłem młodszego syna i tłumacząc mu jak powinien się zachowywać umieściłem go w dużym niemieckim plecaku i bez problemu wyniosłem poza teren getta. Jego ciało było tak wychudzone, że w ogóle nie było czuć jego ciężaru w plecaku. Z drugim synem postąpiłem tak samo, również z sukcesem, i zaniósłem go na wpół przytomnego do córki Sikorskiego. Żaden

z moich synów nie miał typowego żydowskiego wyglądu. Co więcej, chłopcy mówili dość dobrze po polsku. Przez siedem tygodni mieszkali kompletnie wolni z córkami Sikorskiego, a ich stan znacznie się polepszył. Później Sikorski mianował mnie kierownikiem grupy robotników zajmujących się czyszczeniem silników; miałem pod sobą ośmiu Polaków. Pewnego dnia ktoś na mnie doniósł, o czym poinformował mnie Sikorski. Polecił mi ucieczkę i udanie się do domu swojego sąsiada, gdzie zmieniłem swój kolejowy mundur na codzienne ubranie i wyszedłem stamtąd z zamiarem powrotu do getta.

Nawiedzały mnie jednak myśli, że Polacy, którzy na mnie donieśli mogą poinformować Gestapo o moich dzieciach i spędziłem bezsenną noc zastanawiając się czy zostawić synów u córek Sikorskiego, czy też zabrać je z powrotem do getta. Ostatecznie zdecydowałem, że wrócimy wszyscy do getta i tak też zrobiłem. Postarałem się również,

ażeby ponownie opiekę nad nimi przejęła 12-letnia dziewczynka. Ponownie opuściłem getto i udało mi się powrócić z jedzeniem i nakarmić ich puste brzuchy.

Któregoś dnia po powrocie do getta okazało się, że w zajmowanej przeze mnie piwnicy nie ma nikogo. Uderzyła mnie przerażająca cisza i niepokojące przeczucie, że coś złego musiało się wydarzyć. Popędziłem w stronę kołyski znajdującej się pod oknem, odrzuciłem na bok kocyk

i w jednej chwili zrobiło mi się ciemno przed oczami na dźwięk słów jakie kiedyś wypowiedział mój 7-letni syn.

- Kiedy Niemcy po mnie przyjdą to nie chcę z nimi iść... Po prostu nie chcę.

Powiedział to tak dojrzałym tonem, iż wydawało mi się, że przemawiała do mnie osoba dorosła. Tak naprawdę w getcie wszystkie dzieci były jak dorośli. Mój syn leżał teraz na łóżku trzymając w swojej małej, lodowatej dłoni moje pozwolenie na pracę. Z jego przestrzelonej kulą czaszki kapłała krew. Zastrzelili go rządni mordy Niemcy. Mój syn dotrzymał słowa – nie poszedł z Niemcami kiedy ci po niego przyszli.

Kiedy doszedłem do siebie pobiegłem do swoich sąsiadów. Jeden z nich pomógł mi zanieść ciało mojego syna na cmentarz żydowski i je pochować. Później udałem się na stację załadunkową

i przekupiłem pracującego tam urzędnika, ażeby przekazał mi informacje o miejscu pobytu mojego drugiego syna i dziewczynki, która się nim zajmowała. Dowiedziałem się, że godzinę wcześniej odjechali pociągiem do Treblinki.

Osamotniony, już bez zobowiązań dotyczących opieki nad rodziną, opuściłem getto w towarzystwie mężczyzny, który – podobnie jak ja – nie wyglądał jak typowy żyd. Pełni odwagi weszliśmy do sklepu Wedla mieszczącego się na ulicy Jerozolimskiej. Po zjedzeniu kilku ciastek

i wypiciu kawy poczułem ogromny ból w głowie i poszedłem do apteki, ażeby kupić jakieś tabletki. Na ulicy nikt nie zwracał na nas uwagi i wszyscy brali nas za Polaków – zarówno ze względu na wygląd, jak i strój. Jednak w aptece, młoda dziewczyna pracująca za ladą rozpoznała mnie natychmiast. Najprawdopodobniej ona też była żydówką. Mieszkała i pracowała w aptece przez co najprawdopodobniej jej pochodzenie nie było tak oczywiste. Powiedziałem jej, że jestem

z przyjacielem, i że potrzebujemy pomocy. Dziewczyna pochodziła z Warszawy. Nazywała się Sala Zeilberberg i mieszkała na ul. Twardej 4. Z jej pomocą udało nam się zdobyć mieszkanie, w którym spędziliśmy kilka tygodni. W getcie na ul. Nalewskiego mieszkał rabin. Krążyły plotki, że organizował on wystawne kolacje podczas wieczoru rozpoczynającego okres Paschy. W wieczór rozpoczynający Paschę, 1943, późnym popołudniem wraz ze swoim przyjacielem i dziewczyną z apteki weszliśmy na teren getta.

Wielu młodych ludzi mieszkających poza jego terenem zrobiło to samo, ażeby wziąć udział

w kolacji. Wtedy to wszyscy cisnęli się w małej piwnicy, kiedy grupa Niemców weszła na teren getta

i zablokowała drogę. Wybuchł bunt. Ta nieoczekiwana sytuacja wypełniła nas wszystkich ogromną nadzieją i wszyscy włączyliśmy się do walki.

21. kwietnia Niemcy okrążyli bunkier, w którym ukrywało się ok. stu osób. Wpuścili do środka gaz łzawiący i rozkazali nam wyjść na zewnątrz. Chwiejnym krokiem wyszliśmy z ukrycia kaszląc,

a Niemcy ustawili nas w rzędzie pod ścianą z rękami uniesionymi do góry. Na początku przeszukali nas dokładnie, po czym zostawili stojących na kilka godzin.

Ostatecznie zaprowadzili nas do ładowni, w której spędziliśmy kilka dni tkwiąc w śmierdzących odchodach krowich bez jedzenia i picia, a następnie wyruszyliśmy pociągiem do Majdanku. Zdecydowano, że nadają się do pracy w kopalni węgla w Jaworznej na Górnym

Śląsku, gdzie spotkałem innych mieszkańców Łowicza: Shaike Zibermana, Binema Hoffnunga, i Mendela Rosenberga (wnuczka Mendela Bermana). Dowiedziałem się także, że w obozie był Moshe Zaide.

W obozie śmierci spotkałem innych ludzi z Łowicza. Byli to: Ele Szmietanka, B. Shapiro

i synowie Moshe Hoffnunga; Binem i Ytche. Pewnego dnia podczas pracy na najniższym poziomie kopalni usłyszałem, że najstarszy syn Menachema Perasa został powieszony obok kuchni. Nie udało mi się ponownie spotkać z nikim z grupy z Łowicza, z wyjątkiem Meira Rosenberga.

Kiedy już praca w kopalni węgla kompletnie pozbawiła nas sił zostaliśmy wysłani do Birkenau. Gdybym przez przypadek nie spotkał Yukela Słabodzińskiego to na pewno zaliczyłbym się do grona osób zmarłych. Na samym początku nie znałem go osobiście, ale fakt, że byłem przyjacielem jego najmłodszego brata ocalił mi życie. Yukel był krawcem, który jeszcze przed wojną opuścił Łowicz

i ostatecznie zamieszkał w Paryżu. Tutaj, w Birkenau umieszczono go w jednej grupie z żydami pochodzącymi z Francji. Był głównodowodzącym w sektorze zajmującym się szyciem, który nazywano „Kanadą” ponieważ życie i warunki były tam o wiele lepsze niż w innych częściach obozu.

Latem 1943 roku zostałem objęty kwarantanną na okres sześciu tygodni wypełnionych cierpieniem. Po tym czasie byłem tak wycieńczony, że nie nadawałem się do pracy i zdecydowano, że będą zajmował się zbieraniem śmieci podczas gdy inni szli do pracy. Miałem to szczęście, że więźniowie nie byli brani do „komnaty” pojedynczo, w przeciwnym razie najpewniej już dawno bym tam trafił. Żyłem w ciągłym strachu licząc się z tym, że każdy dzień może być ostatnim. Ostatnie swoje siły poświęcałem na szukanie kogokolwiek kto mógłby poratować mnie choćby okrucieństwem chleba, ażebym w ten właśnie sposób wydłużył swoje życie choćby troszeczkę.

Podczas tych poszukiwań kiedy wędrowałem wzdłuż pralni, w której pracowała grupa francuska zauważyłem znajomą wyglądającą twarz przypatrującą mi się zza okna. Wątpliwym głosem udało mi się zawołać:

-Jesteś z Łowicza?

Pokręcił głową na znak, że nie.

-Z Sochaczewa – powiedział.

Wyszedł do mnie na zewnątrz i powiedział, że w jego grupie była osoba pochodząca z Łowicza, która jednak udała się do Francji. Nagle drzwi sąsiedniego baraku otworzyły się i stanął w nich Yukel. Zmrużyłem oczy i zamrugalem z niedowierzania, ponieważ był on żywą kopią swojego brata, którego tak dobrze znałem. Zawołałem go po imieniu.

Podszedł do mnie powoli i spytał o moje imię. Kiedy mu odpowiedziałem to nie uwierzył mi. Chciał ażebym udowodnił mu, że mówię prawdę. Pytał o imiona swoich rodziców i innych krewnych. Pomimo ogromnego osłabienia odpowiadałem na jego pytania. Ostatecznie uznał, że mówię prawdę

i poprosił, ażebym poczekał na niego kilka minut i zniknął w baraku. Powrócił po chwili niosąc dla mnie kawałek chleba z kielbasą. Kiedy mi go dał straciłem nad sobą kontrolę i zacząłem jeść jak dzikie zwierzę – odgryzając ogromne kawałki, połykając bez żucia i prawie się dławiąc. Zaczął pytać mnie

o Łowicz, ale myślni byłem nieobecny rozkoszując się faktem, że mam co jeść i nie odpowiadałem na jego pytania. Na chwilę zapomniałem o swojej niedoli i nędzy jakie towarzyszyły mi przez ostatnich kilka lat. Unosiłem się w niebiańskim zachwycie spowodowanym kawałkiem chleba z kielbasą, a moje oczy wypełniły łzy szczęścia. Czulem jak na moje wymęczone i chude jak szkielet ciało splywa porcja dodatkowej siły. Po tym jak

zdałem sobie sprawę w jakim bunkrze się znajduje, Yunkel powiedział, że dołoży starań, ażeby mnie do niego przenieść. I dotrzymał słowa.

Kilka dni później podczas sprawdzania listy obecności przybył SSman trzymając w ręku kawałek papieru. Odczytał numer: 26513 – mój numer. Serce podskoczyło mi do gardła. Oczyma wyobraźni widziałem jak jestem prowadzony do komory gazowej. Odczytał mój numer raz jeszcze,

a ja stałem jak słup soli powoli dochodząc do świadomości, że czas najwyższy spotkać się ze swoim przeznaczeniem. Niemiec przyjrzał mi się uważnie po czym zwrócił się do Yukiela. Zapytał go głosem pełnym ironii:

- Czy to jest mężczyzna?

- Jawohl! – odpowiedział Yukiel

- Chcesz wziąć go do pracy?

- Tak, proszę pana – odpowiedział Yukiel pewnym siebie głosem – Nadaje się do pracy.

Yukiel wziął mnie za rękę i jak dziecko zaprowadził do baraku. Przygotował mi kąpiel, a później pokazał stos ubrań i kazał wybrać dla siebie to, co chcę. Ciepła kąpiel i czyste ubrania wybawiły moją duszę z choroby. Zdawało mi się, że nie mam już nic wspólnego z „Muzułmaninem”, którym byłem dwa dni wcześniej kiedy to tkwiłem w oczekiwaniu na chwilę, w której w komorze gazowej zakończy się moje podłe życie.

Czekał na mnie również przyrządzony przez Yukiela posiłek, który pochłonałem z szaleństwem podobnym do tego jakie towarzyszyło mi dwa dni wcześniej kiedy dostałem chleba

z kielbasą. Był to największy posiłek jaki jadłem od bardzo długiego czasu i mój żołądek odmówił jego przyjęcia.

Był to początek mojego nowego życia w Birkenau, ale nie trwało ono jednak długo, bo Yukiel wraz z innymi francuzami został przeniesiony do Polski. Jakiś czas później dowiedziałem się, że byli tam, ażeby oczyszczać z gruzów warszawskie getto. Przed odjazdem Yukiel powiedział mi szczerze:

- Yosel, zdecydowano, że zostanę wysłany do Polski. Nie wiem jaki los mnie tam czeka i czy przeżyję. Wiem jednak, że ty będziesz żyć i pamiętać o tym, że się tutaj spotkaliśmy.

Doskonale wiem, że nigdy nie zapomnę. Gdyby los nie sprawił, że się spotkaliśmy to nie byłbym wciąż żywy, ażeby opowiadać o swoich przeżyciach.

Zostałem i pracowałem w Birkenau do końca 1944 r. Zaczęły spływać informacje, że Rosjanie są już blisko, co spowodowało, że odczuwało się rosnącą niecierpliwość aż to się stanie. Pewnego dnia, późnym popołudniem Niemcy wyciągnęli nas z bloków i zaczęli kierować do Blechome. Był to istny Marsz Śmierci, podczas którego pełno ludzi padało martwymi na ziemię.

Byliśmy już prawie na miejscu kiedy nagle wszyscy dostali od losu szansę na wolność. Rozpoczął się nalot bombowy, podczas którego strażnicy rozbiegli się na wszystkie strony, a wielu więźniów zdołało uciec i udać się w kierunku stacji kolejowej, a kiedy tam się dostali dosłownie „rozdzielali” wagony wypełnione jedzeniem, plądrowali sklepy i obładowani wszelkiego rodzaju dobrem wracali na stację. W związku z wszędobylskimi chaosem i zamieszaniem nikt tak naprawdę nie wiedział co robić i gdzie iść. Niemcy wrócili z miejsc swojej nagłej ucieczki i zaczęli zbierać nas do kupy i poprowadzili wzdłuż torów; zastrzelono wtedy kilkaset ludzi. Kilka godzin później znowu zostaliśmy zbombardowani przez Rosjan, ponownie uciekliśmy i znowu udało zebrać się nas do kupy.

Ciężko było iść przez śnieg, który sięgał nam do kolan. Kiedy doszliśmy do skraju lasu dałem znać swoim towarzyszom, że czas najwyższy na ucieczkę. Kiedy doszliśmy do szczytu skarpy odskoczyliśmy na bok i sturlaliśmy się w dół zasypując się jednocześnie

śniegiem. Niemcy otworzyli do nas ogień zabijając każdego, kogo dosięgły kule. Tylko pięcioro z nas przeżyło zasypanych w śniegu. Leżeliśmy tak przez prawie półtorej godziny bez ruchu w kompletnej ciszy aż do czasu kiedy byliśmy pewni, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Wygrzebaliśmy się z tych „niby-mogił”

i udaliśmy do lasu. Świtem dobiegły nas odgłosy ostrej wymiany ognia pomiędzy Niemcami i Rosjanami. Schowaliśmy się w stosie drewna zaspokajając nasz głód resztkami jedzenia i miodem, który jeden z nas ocalił od chwili naszej ucieczki podczas bombardowania. Nagle usłyszeliśmy jakieś kroki i głosy. Nastawiliśmy uszu, ażeby słyszeć je lepiej. Zobaczyliśmy dwóch Niemców. Jeden trzymał w rękach swój mundur, a drugi wciąż miał swój na sobie. Widzieliśmy jak wyrzucają swoje mundury i rewolwery i zaczynają uciekać w kierunku odwrotnym do tego, z którego przybyli. Dla nas był to znak, że Rosjanie i wolność są już blisko.

Opuściliśmy kryjówkę i udaliśmy się drogą wzdłuż lasu. Kiedy dotarliśmy do skraju lasu zauważyliśmy małą wioskę w oddali. Ku naszemu przerażeniu zauważyliśmy też niemieckich żołnierzy leżących w okopach znajdujących się dokładnie w połowie drogi jaka dzieliła nas od wioski. Nie zauważyli nas na szczęście, a my po czasie odkryliśmy alternatywną drogę do wioski i przekradliśmy się tam za ich plecami.

Wioska była kompletnie pusta – ani żywej duszy. Drzwi w domach były otwarte tak jakby mieszkańcy na dźwięk nadchodzących Rosjan uciekli, ażeby ocalić swoje życie porzucając swoje domostwa. Chodziliśmy po opustoszałych domach zbierając jedzenie i ubrania. Znaleźliśmy również rowery, na których obładowani różnego rodzaju zdobyczami pojechaliśmy z powrotem do lasu.

Okazało się, że okopy są już puste, co oznaczało, że Niemcy uciekli. Zatrzymaliśmy się w lesie i zaczęliśmy zastanawiać się jaki obrać kierunek. Zdecydowaliśmy, że pozostaniemy tam, gdzie byliśmy.

Nie uszliśmy zbyt dużo kiedy napotkaliśmy zgiętego pod ciężarem dwóch wiader z wodą mężczyznę idącego w naszą stronę. Z uwagi na odzyskaną pewność siebie powiedzieliśmy mu kim jesteśmy. Przyglądał nam się uważnie przez chwilę po czym powiedział, że niedaleko miejsca, w którym się znajdowaliśmy był obóz, z którego ewakuowali się strażnicy pozostawiając internowanych samych sobie.

Płot z muru kolczastego został zniszczony, a obóz pozostał niestrzeżony. Tam właśnie się udaliśmy. Przenieśliśmy się do małego baraku opuszczonego przez większość więźniów, którzy ukryli się w dużym podziemnym bunkrze zostawiając go opustoszałym. Jedliśmy głównie to, co udało nam się ukraść. Zasypialiśmy z nadzieją, że dzień następny przyniesie dobre informacje; i Rosjan.

Tej nocy wrócili Niemcy. Zaczęli wypędzać więźniów z ukrycia i wiązali ich razem w celu utworzenia tzw. „Pochodu Śmierci”. Jedna z grup dotarła do naszej kryjówki i kazała nam wyjść

z ukrycia. Nic nie odpowiedzieliśmy, a oni zapytali ilu nas jest.

- Dziewięcioro – odpowiedzieliśmy.

Nie ruszaliśmy się. W pewnym sensie nasz dalszy los zależał od naszego małego podstępu. Mieliśmy nadzieję, że Niemcy nie będą próbowali wyciągać nas z kryjówki w obawie o własne życie. I nagle zrobiło się cicho.

Następnego poranka obóz był kompletnie opustoszały. Zarówno Niemcy, jak i więźniowie zniknęli.

Wróciliśmy do lasu nie mając pojęcia gdzie zaprowadzi nas ścieżka. Po około trzech kilometrach stanęliśmy twarzą w twarz z Rosjanami. Zabrali nas ciężarówką do wioski

zwanej Tashak. Na miejscu zostaliśmy zaprowadzeni do jakiegoś domu i powiedziano nam, że mamy się w nim osiedlić na jakiś czas. Jeden z rosyjskich oficerów, który był żydem rozmawiał ze mną w moim ojczystym języku (jidysz). Zapoznał mnie również z raportem dotyczącym Polski, którego treść była zatrważająca. Powiedział mi również, że nie ma sensu wracać do kraju, ponieważ Naziści brutalnie mordują wszystkich żydów. Poradził mi pozostać na miejscu ze względu na to, że pozycja w jakiej wtedy znajdowali się Rosjanie pozwalała im na pomoc wszystkim ludziom ocalałym z obozów śmierci. Nie mogłem jednak znaleźć ukojenia, ponieważ ciągle nawiedzały mnie wspomnienia dotyczące mojej rodziny uwięzionej w okupowanym Łowiczu. Tliła się jednak we mnie nadzieja na to, że któryś z jej członków ocalał podobnie jak ja.

Po kilku wyczerpujących dniach w Tashak w tajemnicy uciekłem do Polski. Noc spędziłem wędrując po stacji kolejowej w poszukiwaniu pociągu udającego się w kierunku kraju. Z racji tego, że nie byłem obciążony bagażem udało mi się bez problemu wskoczyć do jednego z pociągów udających się w tamtym kierunku kiedy ten ruszał ze stacji.

Ostatecznie po trzech dniach dotarłem do Łowicza. Był to luty 1945 r.; Alianci najeżdżali wtedy ziemie niemieckie, a Rosjanie byli o krok od zdobycia Berlina. Natychmiast po przybyciu do Łowicza znalazłem drogę do mojego starego domu w kamienicy należącej do Lazera Borucha. Obecnie był on zajmowany przez sympatyczną kobietę, ale wydawało mi się, że nic nie zmieniło się

w jego wystroju. Portrety rabiego żydowskiego Meira Bala Ha'Nesa, Mojżesza i innych wciąż wisiły na ścianach, a ich widok zaprowadził moje myśli do pewnego kwietniowego dnia roku 1941 kiedy to trwała ewakuacja w łowickim getcie. Kobieta wydawała się być lekko poirytowana kiedy powiedziałem jej kim jestem i zapytała czy mam zamiar wyrzucić ją z mieszkania. W dość ostrych słowach powiedziała mi jak to wyrzucono ją z jej domu w Warszawie rok wcześniej i jak zmuszono do osiedlenia się w moim mieszkaniu w Łowiczu. Raz jeszcze bardzo dokładnie przyjrzałem się pokojowi, w którym staliśmy, a moje serce wypełniły wspomnienia dotyczące życia mojego i mojej rodziny z okresu przedwojennego.

Następnie wyjaśniłem kobiecie, że nie mam zamiaru wyrzucać jej z mieszkania, co sprawiło, że odetchnęła z ulgą. Opuściłem to miejsce w celu znalezienia schronienia dla mojej wymęczonej i rozdarłej wojną osoby.

**(tłumaczenie z języka angielskiego na podstawie oryginału napisanego przez Israela Buczko)**